Rok I. Kraków, 2. Października 1869. Nr. 7.



czasopismo illustrowane dla ludu, wychodzi w Krakowie 1-go i 16-go każdego miesiąca.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Słowo redaktora do Czytelników „Włościanina.“

Czwartą część z tego, co pozostaje po zapłaceniu druku, papieru, drzeworytów, przesyłki i wszystkich innych kosztów, przeznaczam na zapomogę dla syna włościanina, który do gimnazjum św. Anny w Krakowie uczęszcza.

W tym roku wypłacę 50 złr. a to: 1 stycznia 1870 r. tudzież 1 lipca 1870 każdym razem po 25 złr. Im więcéj przybędzie prenumeratorów, tym większy stanie się ten zasiłek dla biednego studenta.

Spodziewać się wypada, że czytelnicy moi zechcą przynajmniej z tego powodu starać się o rozpowszechnienie „Włościanina,“ który dotąd na tysiące prenumeratorów swych liczyć powinien, a liczy ich zaledwie na setki. A przecież „Włościanin“ jest najtańszem pismem polskiem, a w Galicyi jedynem pismem dla ludu.

Robię co mogę, i nikt więcéj już zrobić nie zdoła; ale nieszczęście, że w kraju naszym znajdzie się zawsze grosz na uraczenie gościa, na przepitek, na hulankę — ale na książkę, na pismo jakie, to zabraknie grosza.

Otóż kochani czytelnicy „Włościanina“, starajcie się o jak największe rozszerzenie tego pisma, aby owa czwarta część dochodu dla biednego studenta przeznaczona, zamiast 50 złr., przynajmniej 200 złr. wynosiła, a błogosławić Was będzie ten, który z Waszéj łaski będzie miał za co nabywać nauki dla pożytku kraju, narodu.

Czesław Pieniążek.

Pogadanki o ziemi i ludach.

(Przez redaktora).

W przeszłym numerze powiedziałem Wam, czytelnicy moi, jakie to ludy zamieszkują kraje naszego Cesarza. Słyszeliście tam o słowianach, którymi są i czechy i my polacy i rusini i kroaci itd. Niejeden zapewne z was dziwił się, dla czego wymienione te narody słowianami się nazywają. Otóż dzisiaj posłuchajcie, a zaraz wam wytłómaczę i tę zagadkę i wiele innych ciekawych rzeczy.

Ziemia nasza wygląda jakby nieprzymierzając jaka ogromna kula, która około słońca się obraca. Bo chociaż nam się zdaje, jakoby słonko rano zeszedłszy, przez niebo szło aż do zachodu, to przecież tak nie jest. Słonko stoi w miejscu, nie rusza się wcale i jest od ziemi niezliczoną ilość razy większe, ale o tem wszystkiem i o słońcu i o gwiazdach i o księżycu i o tem jak się ziemia w około słońca obraca, pomówimy później; dziś chcę Wam tylko kochani czytelnicy opowiedzieć potrosze, jakto ta nasza ziemia wygląda i jakie na niej mieszkają narody.

Dowiedźcież się najpierw, że ta ogromna kula, ziemią nazwana, składa się z lądu i wody. Ląd czyli ziemia, jest jedną czwartą częścią całej kuli ziemskiej, a trzy czwarte części zajmuje woda, mianowicie: morza, jeziora, bagna, rzeki itd.

Na tej kuli ziemskiej nie wszędzie jednakie rosną drzewa, nie wszędzie jednako słońce dogrzewa, nie wszędzie jednakie plemią się zwierzęta a i ludzie nie wszędzie do siebie podobni. Ztąd też ziemia dzieli się na 5 części, a wszyscy ludzie na całej ziemi na 5 ras.

Te 5 części ziemi są następujące: największa z nich Azja, potem Ameryka, potem Afryka, Europa i Australja.

Rasy zaś są następujące: Rasa kaukazka czyli biała, mongolska czyli żółta, etjopska czyli czarna, malajska czyli brunatna i amerykańska czyli miedziana.

Nateraz o tej części ziemi, na której mieszkamy, i o tej rasie ludzi, do której należymy, mowa tutaj będzie.

My mieszkamy w tej części ziemi, która się Europą nazywa a należymy do rasy ludzi kaukazkiej czyli białej.

Jednak ażebyście czytelnicy kochani, lepiej zrozumieli właściwość naszej rasy, naprędce to wam powiem, że rasa nasza dla tego zowie się białą, ponieważ ludzie do niej należący mają białą, jasną skórę, kształtny skład ciała i odznaczają się największemi zdolnościami i talentem do wszystkiego. Przeciwnie rasa mongolska przedstawia nam ludzi żółtych jak oliwa, z włosami bardzo grubemi, twarzą jak gdyby sękatą, bo kości na policzkach są nadzwyczaj wysterczające, z oczami bardzo małemi a głęboko zapadniętemi. Zaś rasa czarna czyli etjopska odznacza się od wszystkich innych tem, że ludzie mają prawie całkiem czarną skórę, włosy jak wełna gęste, krótkie a skręcone, wargi mocno wystające, a zęby białe jak śnieg. Rasa amerykańska odznacza się miedzianym kolorem skóry i czarnym włosem. W końcu rasa malajska, jest jakby mięszaniną wszystkich tamtych ras. Ludzie do tej rasy należący, mają skład głowy i oczy jakby z rasy kaukazkiej, grube czarne włosy jakby z rasy mongolskiej, a twarz spłaszczoną jakby z etjopskiej rasy.

Tak więc widzicie, że ta rasa ludzi, do której my należymy, jest najpiękniejszą, a ludzie tejże rasy zamieszkują całą Europę, południową i południowo-zachodnią część Azji, tudzież północną część Afryki. Przyszliśmy więc do Europy. Jak już wiemy, wszyscy ludzie, którzy Europę zamieszkują, należą do kaukazkiej czyli białej rasy, ztąd też wszyscy podobni są do siebie z twarzy i z całej powierzchowności, jednakże różnią się między sobą mową i zwyczajami, a według tej mowy i zwyczajów swoich, dzielą się na różne narody. I tak np. są w Europie narody tak nazwane romańskie czyli łacińskie, germańskie czyli niemieckie i słowiańskie.

Narodami romańskiemi czyli łacińskiemi są:

1. Włochy
2. Francuzi
3. Hiszpanie
4. Portugalczycy
5. Wołochy czyli Rumuny.

Wszystkie te narody mają podobną do siebie mowę, podobne usposobienie i wiele podobnych zwyczajów; a pochodzi to ztąd, że te wszystkie narody z jednego pochodzą narodu, i mowę swoją z jednej mowy łacińskiej wyrobiły. Dla tego zowią się narodami łacińskiemi.

Narodami germańskiemi czyli niemieckiemi są:

1. Niemcy (Prusacy, Bawarczycy, Saksończycy itd)
2. Szwedy
3. Norwegowie
4. Duńczycy
5. Anglicy.

Te wszystkie narody, tak samo jak poprzednie, podobną mają mowę i obyczaje podobne, bo od jednego niemieckiego pochodzą plemienia.

Narody zaś słowiańskie są:

1. Polacy
2. Rusini
3. Czesi
4. Morawcy czyli hanaki
5. Kroaci
6. Słoweńcy
7. Słowaki
8. Serbowie
9. Czarnogórcy
10. Bułgarzy
11. Bośniaki.

Te wszystkie narody znowu, podobne są także do siebie z mowy i zwyczajów. Z tych narodów słowiańskich najwięcej jest polaków i rusinów, potem idą czechy, serbowie i kroaci.

Moskale wyuczyli się mowy ruskiej i przyznają

się do tego, że są słowianami; jednakże moskale nie tylko że nie są słowianami, ale nawet do kaukazkiej rasy nie należą, jeno do rasy mongolskiej. Zawojowali kraje ruskie, a mowy na to wyuczyli się ruskiej, aby tem łatwiej gnębić podbity naród.

Oprócz tych wszystkich wymienionych narodów, są jeszcze w Europie narody: litewski ściśle z polskim narodem połączony i z nami przez wieki pod jednymi królami i pod jednym rządem żyjący. Naród węgierski, naród grecki, turecki, holenderski a prócz tych kilka innych nielicznych plemion, o których tutaj mówić nie będziemy.

Należałoby spodziewać się, że każdy naród ma swój własny rząd i że sam się rządzi u siebie tak, jak gospodarz na swoim gruncie w swej własnej chałupie. Na nieszczęście tak nie jest. Nie wszystkie narody mają rząd własny, nie wszystkie mają swobodę, nie wszystkim jest wymierzona sprawiedliwość.

I tak: każdy z romańskich czyli łacińskich narodów ma własny rząd i własnych swoich praw słucha, a mianowicie: Włochy mają swego króla Wiktora Emanuela, swoje własne włoskie prawa, i kraj ich zowie się krajem włoskim czyli królestwem włoskiem.

Francuzi mają swego cesarza Napoleona, swój rząd własny i także nikomu nie podlegają. A tak samo Hiszpanie, Portugalczycy i Rumuny. Z narodów germańskich Szwedzi, Duńczycy i Anglicy, własne mają prawa, własnych królów i rząd własny; zaś naród niemiecki podzielony jest tak, że kilku mu królów panuje; a kiedy ci królowie się pokłócą z sobą i wydadzą sobie wojnę, to niemcy bić się muszą z niemcami, muszą bratnią krew przelewać.

Tak n. p. król pruski panuje nad jedną częścią niemców i przezwał ich prusakami, chociaż oni prusakami nie są, tylko niemcami. Nad innymi przewodzi król bawarski, nad innymi nasz cesarz, a nad resztą, kilku innych królów i książąt.

Narody słowiańskie najnieszczęśliwsze, bo nad wszystkiemi rozsiadła się przemoc tyranów, bo żaden z nich nie ma swobody, żaden praw swoich własnych, a każdy w jarzmie, w ucisku.

I tak: większą część narodu polskiego i ruskiego ujarzmił moskal i w strasznej trzyma niewoli, o czem już nieraz słyszeliście i czytali. Drugą częścią Polski włada król pruski i także prześladuje nasz naród, odbierając mu ojczystą mowę i zapełniając polską ziemię niemcami. Trzecia część Polski, nazwana Galicją, jest pod rządem austrjackim. A chociaż Naj. nasz Pan, cesarz, pragnie nas biedne sieroty oderwane od matki ojczyzny przytulić do swego ojcowskiego serca, to przecież niemcy przeszkadzają temu i powodowani zazdrością, nie chcą przyznać nam praw, jakie nam się należą. O tem już także pisałem wam nieraz. Naród czeski i reszta narodów słowiańskich, które wymieniłem, także swych własnych nie mają rządów, ale częścią pod austryackim, częścią pod węgierskim, a częścią pod tureckim zostają rządem.

Na tem kończę dzisiejszą z wami pogadankę o ziemi i ludach, a na przyszły raz pomówimy nieco bliżej o rządach i o krajach w Europie.

Dwaj sąsiedzi.

Było sobie dwóch sąsiadów. Jeden zwał się Mruk, drugi Świstun. Mruk był zawsze smutny, zamyślony, milczący, kiedy znowu Świstun nie przemówił słowa bez śmiechu i żartu i wiecznie był wesoły, zadowolony. Obaj byli ubodzy i mieli liczną rodzinę do wyżywienia. Świstun miał pięcioro, Mruk zaś czworo dzieci. Toć w pocie czoła musieli obydwa pracować na kawałek chleba, ażeby żony i biedne dziecięta otulić i wyżywić. Zdarzało się bardzo często, że nasi sąsiedzi razem chodzili na robotę. Kiedy zaś po całodziennéj pracy wracali do domu, Mruk szedł zasępiony i smutny, nie mówił, jeno ciągle wzdychał i wzdychał; Świstun miał ochoczą minę i nucił sobie piosenki, jakby jakie młode chłopię.

Pewnego razu wracali obydwa z lasu, gdzie przez dzień cały zrębywali drzewa. Mruk jak zawsze wzdychał i wzdychał, a Świstun śpiewał sobie jakiegoś jurnego krakowiaka.

— Mój ty Mruku, odezwał się nagle Świstun, skończywszy piosnkę; powiedz ty mi też, dlaczego ty zawsze taki smutny i zamyślony?

— Dla czego ja smutny i zamyślony? odpowiedział Mruk, rzecz prosta, bo nie mam przyczyny weselenia się.

— Czyż ja mam przyczynę, a przecież nie jestem smutny. Nie jestem smutny, mówił dalej Świstun, bo i cóż smutek pomoże? chyba tyle, że zbrzydzi i skwasi człeku życie i na tem koniec. Patrz na mnie, bieda obydwom nam równo dokucza a przecież zupełnie mam insze usposobienie, jestem wesoły i szczęśliwy i dobrze mi z tem, gdyż miło mi żyć na świecie, a i praca zda się być lekką i znośną.

— Weselić się?.. rzekł Mruk, uśmiechnąwszy się boleśnie, weselić się, kiedy człek ma żonę i czworo dzieciaczków w nędzy, a przy tem włos już zbielały.

— Alboż ja nie mam żony? odparł Świstun, alboż ja nie mam dzieci? masz ty ich czworo, to ja mam pięcioro, a co do siwych włosów toć wiem dobrze miły sąsiedzie, iż młodszym od ciebie nie jestem, nędza i u mnie, a jeden tylko Stwórca litościwy wie, jak nam czasem dokuczy, ale cóż robić? Bóg tak rozporządził, więc trzeba się tem kontentować.

— A czyś ty myślał kiedy, mój Świstunie nad tém, mówił Mruk, co się stanie z twoją rodziną, kiedy ty umrzesz?

— Ha, Bóg i dobrzy ludzie będą się nią opiekowali!

— Dobrzy ludzie?! a gdzież to ich tak łatwo znaleźć?

— Na szerokim świecie, odpowiedział Świstun, jest ich dosyć. Mruk pokiwał na to smutnie głową i nie odrzekł ani słowa. Szli więc w milczeniu aż do sioła, a następnie każdy poszedł w swoją stronę.

Kiedy tylko Świstun wszedł do chaty, wybiegły przeciw niemu szczebiotliwe dzieciaki, okoliły go i poczęły całować po rękach, wołając z radością:

— Ojciec przyszedł, matulu, ojciec przyszedł!

Świstun bawił się z niemi mile i żartował, zanim wieczerza nie stanęła na stole. Wtedy obsiedli wszyscy zastawiony stół i spożywali wesoło trochę mleka i kawał czarnego chleba. Po wieczerzy nie prędko jeszcze uciszył się gwar szczebiotliwy w Świstunowej chacie, trwał on dość długo, zanim wszyscy nie udali się na spoczynek.

Inaczej było u Mruka. Nikt nie wybiegł przeciw niemu, nikt go nie witał radośnie, wszedł cicho do chaty i usiadł smutny na ławie, nie mówiąc do nikogo ani słowa, w chacie była grobowa cisza, wszyscy siedzieli jak istne mruki, a tylko od czasu do czasu słychać było jak Mruk i żona jego wzdychali, albo które z dzieciaków na głos zawodzić poczęło. Przyszła wieczerza, nie uboższa jak u Świstuna, spożyto ją milczkiem, potem ustawicznie wzdychając i trapiąc się, usnęła wreszcie smutna para, a Mruk wołał jeszcze przez sen:

— Oj, bieda, ciężka bieda!....

Nazajutrz, ledwo co tylko promieniste słonko strzeliło światłem na ziemię i uperliło krople rosy po kwiatach, szli już obydwa sąsiedzi Mruk i Świstun z siekierami w rękach do lasu. Ranek był cudowny. Niebo czyste, błękitne, urocze, z borów lekko poczęła się wznosić mgła a słonko srebrzyło kwiecie i listki drzew swojemi promieniami.

— Patrz, jaka ładna ziemia nasza! zawołał z zapałem Świstun, człek się nie może dosyć nacieszyć temi cudami i pięknościami przyrody!

— A mnie co z tego przyjdzie, odrzekł ponuro Mruk i westchnął głęboko.

— Ależ mój Mruku, jakże można tak mówić! Patrz, biedne ptaszęta świerczą i weselą się wspaniałością Stwórcy, a ty ciągle zasmucony i wzdychający, wierz mi Mruku, że taki wieczny smutek, to nawet obraża Boga, dla tego cięży tobie życie tak, jak jaki kamień młyński na plecach.

— Ja już zostanę takim, odparł Mruk, daremne twoje usiłowania, mój sąsiedzie, innym nie będę.

Tak rozmawiając ze sobą, weszli do boru. Po prawéj stronie w małéj krzewinie było gniazdko ptasze, zobaczył je pierwszy Świstun i rzekł do Mruka:

— Jakież miłe gniazdeczko! i przystąpił bliżej ażeby oglądać ptaszęta, tymczasem samica, która na gniazdku siedziała, spłoszyła się biedaczka i wzleciała z krzewiny do góry. Nasi sąsiedzi spojrzeli za nią, chcąc zobaczyć, na którem usiądzie drzewie, kiedy nagle czyhający jastrząb rzucił się za małą ptaszyną, porwał ją i wzleciał z nią wysoko, wysoko.

— Biedne pisklęta! zawołał rozżalony Świstun, wytężając wzrok za wzlatującym w obłoki jastrzębiem.

— Otóż masz jak na dłoni, rzecze Mruk, przyczynę mego smutku. Te oto pisklęta, to są moje dzieci, a tym przez jastrzębia porwanym ptaszkiem, który je żywił, to jestem ja; kiedy śmierć zabierze mnie z ziemi, cóż poczną biedne pisklęta, kiedy im braknie żywiciela? Cóż poczną moje pisklęta, kiedy mnie złożą w ciasnym grobie?... co?... zginą, marnie zginą.....

Świstun nie rzekł ani słowa, bo nibyto miał Mruk tym razem słuszność, a kiedy się więcej nad losem biednych osieroconych ptasząt zastanawiał, to i on jakoś posmutniał i cicha łza spłynęła z jego powiek.

— Mój Boże, myślał sobie Świstun, toć ten Mruk ma słuszność, że ciężka dola czeka biedne sieroty po naszej śmierci... może tam i moje dzieci zmarnieją, może też — ale nie — nie, Bóg o nikim nie zapomina.

Tą myślą pocieszył się nieco poczciwy kmieć i wkrótce stanął na miejscu zrębów, gdzie już dużo było zgromadzonych robotników.

Praca się zaczęła... siekiery do samego południa nie ustawały w razach. W południe nastąpiła chwila wypoczynku, toć Świstun przypomniał sobie zaraz o ptaszętach i rzekł do Mruka:

— Ot, pójdźmy, miły sąsiedzie, zobaczyć, co też porabiają opuszczone pisklęta.

— Nie ma co widzieć, pewno już dawno z głodu pozdychały, powiedział Mruk, machając ręką.

— Zobaczyć nie zawadzi, chodźmy.

I poszli w znajome miejsce, gdzie było gniazdeczko uwite w krzewinie. Ale jakież było ich zdziwienie, kiedy ujrzeli obcą ptaszynę siedzącą na gniazdku i tulącą pod swoje skrzydełka biedne sieroty.

— A co! zawołał w głos uradowany Świstun. A co teraz, kochany sąsiedzie? kto ma słuszność, ja czyli ty? he, powiedz mi kto ma słuszność?

Mruk zamyślił się głęboko i nic nie odrzekł na Świstunowe zagadnienie.

— Widzisz, mój Mruku, iż Bóg litościwy nawet o biedném pisklęciu nie zapomni, jeno zsyła mu opiekuna, który go przed wszystkiem złem osłania, a cóż dopiero o ludziach. Mam ci ja słuszność, że człek uczciwy, starający się nie ma powodu smucić się przyszłością, zawsze tak było i będzie. Bóg uczciwych i pracujących nie opuszcza, nie da ich dzieci w poniewierki.

— Cud Boży! rzekł Mruk, jakby naraz przejrzał w ciemności, wierzę teraz mocno, iż Bóg o wszystkich i wszystkiem pamięta.

— A cóż będzie ze smutkiem? zagadnął żartobliwie Świstun.

— Rzucę go, a pójdę w twoje ślady, boć Stwórca otworzył mi oczy i inaczej teraz patrzę na świat i na ludzi.

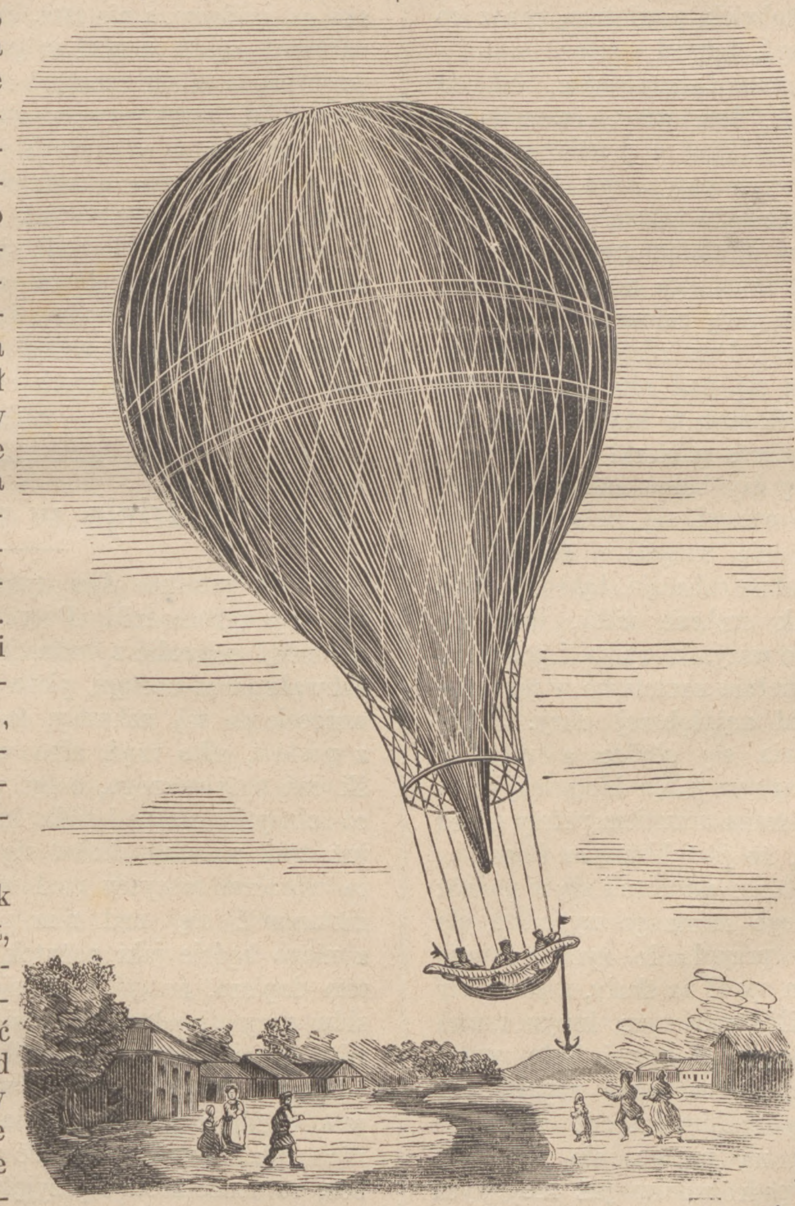
Od tej chwili jakby cudem zmienił się Mruk do niepoznania, z ponurego, wzdychającego wiecz-

nie człowieka, stał się ochoczy i wesoły. Świstun cieszył się niezmiernie, iż zdołał przekonać sąsiada i na swojem postawić. Całe sioło dziwiło się tej dziwnej zmianie Mruka, któremu wcale to na złe nie wyszło, gdyż Bóg szczęścił mu nierównie więcej, niż przedtem, a rodzina jego odżyła i było odtąd wesoło i ochoczo w ponurej niegdyś chacie Mruka.

Grzela z Waszkowiec.

BALON.

W jednej wsi niedaleko Paryża, we Francji, a jest już temu przeszło ośmdziesiąt lat, postrzegli raz ludzie jakiegoś niezmiernej wielkości latawca, unoszącego się nad ich głowami. Przerazili się niesłychanie tym widokiem. Jedni myśleli, że to jakiś ptak drapieżny, drudzy, że to księżyc spada na ziemię, inni wreszcie, że to antychryst. Gdy latawiec coraz bardziej zniżał się ku ziemi, przerażeni do najwyższego stopnia, posłali po księdza, aby to zjawisko zażegnał. Nim ksiądz przybył, latawiec spadł na ziemię. Wówczas znalazł się jeden śmiałek, który poszedł ku niemu ze strzelbą i wypalił. Kula przeszyła latawca i zaraz zaczęło z niego wychodzić z szumem powietrze siarką cuchnące. Teraz już wszyscy byli pewni, że to djabeł, prosto z piekła. Widząc, że się nie rusza, poszarpali go widłami, a szczątki poprzywiązywali koniom do ogonów.



Nie był to jednak djabeł, ani antychryst, jak ci nierozsądni ludzie mniemali, lecz balon. Ale czyż się dziwić temu, co się stało przed ośmdziesięciu laty, kiedy nie zbyt dawno prawie to samo działo się we wsi Płaszowie pod Krakowem, gdy tam padł na polu balon w Krakowie puszczony? Ludzie z tej wioski, przybywszy nazajutrz na targ do Krakowa, naopowiadać się nie mogli, jakiego to oni *polatusa* widzieli, a niektórzy, nibyto mądrzejsi, wróżyli zaraz z tego zjawiska wojnę i pomorek. Widać z tego, że dotąd jeszcze nie wszyscy wiedzą, co to jest balon.

Od bardzo dawnych czasów przemyśliwali ludzie nad wynalezieniem takiej maszyny, za pomocą której możnaby wznieść się w górę i jak ptak latać po powietrzu. Pierwsi Francuzi odkryli, że potrzeba do tego zrobić wielką kulę i rozrzedzić w niej powietrze, przez co stanie się tak lekka, że będzie mogła wznieść się wgórę i bujać. Otóż taka kula, to balon. Jakim się to dzieje sposobem, że balon może bujać po powietrzu, nie będę się długo rozwodził, aby was nie znudzić. Mądrej głowie dość dwie słowie. Owoż i ja w kilku słowach wyjaśnię wam całą tajemnicę. Wiecie, że pęcherz nadęty i do wody wrzucony, nigdy nie utonie, lecz na wierzch wypłynie. Nie utonie i człowiek, pływać nie umiejący, jeżeli do ramion i nóg poprzywiązuje sobie nadęte pęcherze. Owoż jak z pęcherzem w wodzie, taksamorzecz się ma z balonem w powietrzu. Pęcherz wypływa na wierzch, bo jest lżejszy od wody i balon unosi się do góry, bo jest od powietrza lżejszym. Ażeby balon zrobić lżejszym od powietrza, umieszczano dawniej pod spodem u otworu naczynie z ogniem. Od gorąca rozrzedzało się w balonie powietrze i balon wzlatywał. Później nauczono się robić z wody rodzaj powietrza, zwany gazem wodorodowym, który jest trzynaście razy lżejszym od zwyczajnego powietrza i tym gazem nadymają teraz balony, co jest lepszem, bo nie ma takiego niebezpieczeństwa pożaru, jak w pierwszym razie.

Balon jest to więc wielka kula, zrobiona z materyi jedwabnej, z kitajki napuszczonej klejem, zwierz-

chu pokryta siatką. Dalej wkłada się na niego wielkie koło drewniane i spaja się to koło z balonem i siatką. Do koła przymocowane są sznury, utrzymujące pod spodem balonu kosz albo łódkę, do której wsiada człowiek, chcący puścić się w podróż powietrzną. Bierze on z sobą do łódki kilka worków piasku, które potem wyrzuca po jednemu, gdy chce wzbijać się jeszcze wyżej. Parasol, który chroni go od nagłego spadnięcia na ziemię i kotwicę, którą gdy balon spadnie na dół, wbija prędko w ziemię, jeżeli nie chce znowu w górę ulecieć. U wierzchołka balonu jest klapa ze sznurkiem, który podróżny trzyma w ręku i może za jego pomocą otwierać lub zamykać klapę według upodobania. Otwiera ją, gdy chce spuścić się na dół, zamyka zaś, gdy chce lecieć w górę; skoro ją bowiem otworzy do balonu wejdzie cokolwiek powietrza, przez co staje się cięższym niż był, i musi spadać.

Z początku puszczano balony same, lub co najwięcej ze zwierzętami, lecz wnet, znaleźli się ludzie, którzy zapragnęli pobujać w powietrzu. Nieprzeliczone tłumy ciekawych przypatrywały się temu widowisku. Oj! bo też było patrzeć na co, a cóż dopiero samemu bujać w niezmierzonej przestrzeni ponad chmury i obłoki! Dziwnego uczucia doznaje człowiek wznosząc się w górę balonem. Nie czuje on, że płynie coraz wyżej, lecz zdaje mu się, że stoi w miejscu a ziemia się pod nim zapada, tak dalece, że chcąc się przekonać w ktorą stronę się leci, trzeba puszczać podarte papierki i dopiero po ich spadaniu poznaje się czy balon zmierza na dół czy do góry. Im wyżej wznosi się człowiek, tem mniejszemi wydają mu się wszystkie przedmioty na ziemi, ludzie jak drobne robaczki, łąki jak małe płatki zielone, rzeki jak srebrne nitki, lasy jak krzaczki mchu. Nareszcie wszystko znika, i podróżny widzi się samotnym, zupełnie samotnym w niezmierzonej przestrzeni, wśród nąjgłębszej ciszy. Jakże tam wspaniale przedstawia się słońce a w nocy księżyc! Wszystko to napawa jakąś błogością człowieka myślącego. Z pobożnem uczuciem patrzy przed siebie, bo mu się zdaje, że jest bliższym Boga.

Dopóki ludzie otsrożnie puszczali się w podróż balonem, nie było żadnego smutnego wypadku, ale później wielu śmiałków przypłaciło życiem swoje zuchwalstwo. Jeden balon spadł na skały, a podróżny wypadłszy z łódki, zabił się od razu. Innym razem popsuła się w balonie klapa, o której było wyżej i niechciała się zamkąć, zatem balon napełniwszy się powietrzem, stał się ciężkim i spadł nagle na ziemię. Ludzie przybyli na pomoc, ale już było zapóżno. Zastali obu podróżników już nieżywych uwikłanych w skorupy balonu. Inny znowu podróżny wzniósłszy się do niezmiernej wysokości, odmroził tam rękę, bo w tej wysoczyźnie wielkie jest zimno i spadł w morze, gdzie kilka godzin walczył ze śmiercią, aż nareszcie wyratował go jakiś żeglarz. Pewna kobieta, francuzka, puszczała się także bardzo zuchwale w podróż balonem, i nieraz po całych nocach kołysała się pod obłokami.

Raz dawała wielkie widowisko. Wzniosłszy się wysoko, spuszczała na dół zapalone pochodnie, które rozpryskiwały się w powietrzu. Pyszne to widowisko smutnie się skończyło, zapaliła bowiem przez nieostrożność balon, który zaraz spadać zaczął. Byłby może doszedł szczęśliwie do ziemi, ale nagle porwał go wicher i uniósł nad dachy kamienic. Wówczas śmiała żeglarka wypadła z łódki, a za chwilę znaleziono ją nieżywą. Dla rozrywki ciekawych puszczają teraz niekiedy balony w miastach bez ludzi, i takim był ten, który przed niewieloma laty widziano w Płaszowie.

Ciekawi zapewne jesteście, jaki też ludzie odnoszą z balonów pożytek, oprócz przyjemności. Otóż powiem wam, że dotąd bardzo jeszcze mały pożytek mają z nich ludzie, a to dla tego, ponieważ balonem nie można kierować, ponieważ leci on zawsze za wiatrem, a nie tam, gdziebyśmy chcieli. Jednakowoż ludzie uczeni w podróży balonem dowiedzieli się o wielu rzeczach nowych, sprawdzili wiele domysłów, przekonawszy się naocznie, jak to jest tam wysoko w chmurach i nad chmurami. Brali oni ze sobą rozmaite narzędzia, za pomocą których mogli zawsze wiedzieć, jak wysoko się wznieśli, a co widzieli, to zapisywali, jako to: stopień zimna, wilgoci, stan chmur deszczowych, sposób zbierania się chmur przy wschodzie i zachodzie słońca i rozmaite inne zjawiska, ważne i ciekawe dla uczonych, choć dla ludzi pospolitych obojętne.

Stanisław Krakowczyk.

Co się dzieje w naszym sejmie.

Już przeszło dwa tygodnie, jak się posłowie na sejm zgromadzili. Dotychczas nic jeszcze sejm nie mógł uchwalić z ważniejszych rzeczy, bo zanim uchwała jakaś nastąpi, pierwej musi być postawiony wniosek do tej uchwały, to znaczy, że albo który z posłów, albo rząd, albo wydział krajowy, obmyśli coś pożytecznego, coby uchwalić należało, a to, co obmyślił spisze i odda księciu marszałkowi. Jak już taki wniosek dostał się do księcia marszałka, to wtenczas wszyscy posłowie muszą go przeczytać, zastanowić się nad nim i namyślić dobrze, czy z niego będzie jaki pożytek dla kraju, czy nie. Potem dopiero, namyśliwszy się dobrze, każdy z posłów przy obradach nad wnioskami, wypowiada swe zdanie, co o wniosku myśli, i kiedy już ten i ów wypowiedział swoje, posłowie wszyscy głosują, to jest, każdy z posłów powiada, że się zgadza, albo nie zgadza. Jeżeli większość zgodzi się na jakiś wniosek, to tenże zostaje przyjętym i uchwalonym, jeżeli zaś większość jest przeciwną, to wniosek upada.

Otóż dużo wniosków bardzo pożytecznych postawiono już w sejmie, między innemi poseł Wolny włościanin zpod Żywca, podał wniosek o zaprowadzenie lepszego gospodarstwa leśnego.

Powybierano komisje do różnych spraw. Komisje takie złożone z kilku lub nawet kilkunastu posłów, mają obowiązek roztrząsać wnioski różne, zastanawiać się nad sprawami różnemi, a potem

przed sejmem objawić swoje zdanie. Wybrano kilka takich komisji, a mianowicie: komisję gminną, która ma pozmieniać ustawy gminne tak, aby były z większą korzyścią dla gmin, szczególnie wiejskich. Komisję petycyjną, która rozpatruje wszystkie podania, prośby, zażalenia, petycje od gmin wiejskich, miast, stowarzyszeń. Wybrano również komisję naukową czyli edukacyjną, która się ma zająć sprawami oświaty, szkołami całego kraju. Jeszcze wiele innych wybrano komisji, jakoto: konstytucyjną, narodowościową i komisję do regulacji podatków.

Komisja konstytucyjna obmyślić musi najlepszy sposób na to, aby uzyskać od rady państwa potwierdzenie wszystkich uchwał naszego sejmu i zaspokojenie wymagań naszych. W przeszłym roku sejm nasz wypowiedział w tak zwanej rezolucji wszystko, czego nam potrzeba, a delegaci nasi do rady państwa starali się, aby rada państwa na tę rezolucję się zgodziła. Tymczasem niemcy ani sobie mówić nie dali o tem, i wszystko na niczem się skończyło. Otóż teraz rezolucję tę ponownie wysłać trzeba i obstawać przy niej upornie, a jakby niemcy zgodzić się nie chcieli, w takim razie wypada opuścić radę państwa sta-nowczo. Otóż to komisja konstytucyjna zastanowić się ma nad tem, jak i co zrobić wypadnie sejmowi, aby rezolucja potwierdzoną została.

Komisja narodowościowa ma na celu porozumienie się polaków z rusinami. Abyście lepiej zrozumieli, o co tu chodzi, posłuchajcie cierpliwie, czytelnicy moi, co nam *Tygodnik niedzielny*, pismo ludowe we Lwowie wychodzące, o tém opowiada. W *Tygodniku* bardzo pięknie sprawa ta jest opisana, zatem powtarzam dosłownie to, co podaje *Tygodnik*:

„O nieszczęsnéj niezgodzie między polakami a rusinami nieraz wypadało nam pisać. Zawsze pisaliśmy, że ta niezgoda, to największe nieszczęście tak dla rusinów jak i polaków, że z niej cieszyć się mogą chyba niemcy i moskale, bo nie my, to jest rusini i polacy, ale oni mogli mieć z tego pożytek na naszą szkodę. Kto siał między ludźmi naszymi ziarno niezgody, między polakami a rusinami, między dworem a gromadą, o tem pisaliśmy, że to zły człowiek, a nieprzyjaciel gromad, bo gdyby on był rzeciwiście przyjacielem gromad, to starałby się o to, aby one nie traciły licho wie na co i po co czas i pieniądze na procesowanie się, kiedy tańszym kosztem możnaby wszystkie spory z dworami ukończyć w drodze dobrowolnych ugód, do czego ani stępli wiele nie potrzeba, ani też nie potrzeba opłacać adwokatów, po kilka lat nie składać się na podróże dla deputowanych gromadzkich, na podróże na termina i do podawania suplik, które na nic nie przydają się.

Gdyśmy tak pisali, mówiono gromadom o *Tygodniku Niedzielnym*, że go drukują za polskie pieniądze, że panowie opłacają pisarza *Tygodnika Niedzielnego*, więc on musi pociągać za dworami, i dlatego udaje niby to wielkiego przyjaciela gromad a właściwie nie chłopom, ale panom służy. My dobrze o tem wiedzieliśmy, co tam o nas mówią, ale ciągle swoje pisaliśmy — ciągle pisaliśmy, że między dworami a gromadami powinna być zgoda, a że na niezgodzie tak dwory jak i gromady bardzo źle wychodzą.

U nas w ruskiej części naszego kraju zwykle są panowie po dworach polakami, a gospodarze gromadzcy rusinami. Otóż gdy źli ludzie nabechtywali gromady do kłótni z dworami, to mówili, że pan we dworze to człowiek obcy, lach, któryby każdego rusina w łyżce wody utopił, i tym podobne brednie.

Na takie gadaniny i pisaniny w tym sensie, odpowiadaliśmy zawsze, żeśmy tu wszyscy jednej ziemi synowie, i czy tam komu przy chrzcie po łacinie czy po rusku śpiewano, to jak Bóg jeden, którego chwalimy w cerkwiach i kościołach, tak i to jeden naród, co zamieszkuje ojczystą ziemię naszą, bez różnicy wiary lub obrządku, bez różnicy — czy to kto chodzi w sukniach z cienkiego sukna i mieszka w pobielanym dworze, czy też ubiera się w grubą sukmanę, a prosta chata służy mu za mieszkanie, bo gdy jednem powietrzem oddychamy, jedna ziemia nas żywi, jeden Bóg nad nami, i złączeniśmy z sobą tysiącznemi stosunkami codziennego życia, to też chyba człowiek z rozumu obrany, albo kłamca rozmyślny może utrzymywać, że mieszkają u nas tu ludzie należący do dwóch różnych narodów. Gdyby to było prawdą, to w takim razie nieraz brat należałby do innego narodu niż siostra albo matka jego, bo ileż razy zdarza się, że brat jest łacińskiego obrządku, a siostra ruskiego lub odwrotnie? Gdyby niezgoda między polakami a rusinami, wspólnie zamieszkującymi kraj nasz istotnie była konieczną i nieuniknioną, jak mówią źli ludzie, to zdarzyłoby się, że matki ruskie rodziłyby sobie synów wrogów, jeżeli ich mężowie są przypadkiem odmiennego obrządku niż one, a ojcowie byliby wrogami własnych córek, jeżeli oni naprzykład są ruskiego obrządku, a córki ich ochrzczono po matce na łaciński obrządek, jakie to małżeństwa często u nas zdarzają się.

Kto czyta gazety i wie co się na świecie dzieje, temu musi też być wiadomo zapewne, że w sejmie naszym panowie posłowie ruscy: Ławrowski, Kowalski, ksiądz Naumowicz, ksiądz Pawlików i t. d. niebardzo byli w zgodzie z posłami polskiej narodowości i ciągle tam zachodziły między nimi sprzeczki rozmaite. Odkąd sejm nasz zaczął tylko obradować, to już od roku 1861 trwały ciągle te nieszczęsne spory między polskimi a ruskimi posłami a niezgoda w sejmie rozchodziła się jak zaraza po całym kraju. Każdy kraj swój miłujący mieszkaniec tej ziemi, każdy poczciwy człowiek, chociażby nawet i obcy nam, ze smutkiem musiał patrzyć na to wszystko, co się u nas działo z powodu tej niezgody.

Otóż teraz może Bóg zmiłuje się nad nami i dopuści do tego, abyśmy pozbyli się tej niezgody nieszczęsnej, jaką między nami wszczepić usiłowano — abyśmy już na przyszłość nie wpychali siebie w błoto, lecz wziąwszy się za ręce, abyśmy wspólnie dopomagali sobie wzajemnie do wydobycia się z tej kałuży, w którą samochcąc wleźliśmy, słuchając obłudnych

rad nieprzyjaciół naszych. Tylko nieprzyjaciele nasi mogli bowiem siać niezgodę między nami, bo oni jedynie mieli z tego korzyść, a my, to jest Polacy i Rusini, szkodę największą cierpieliśmy z tego powodu. Dawniej podjudzali do niezgody Rusinów z Polakami niemieccy urzędnicy, aby im tem łatwiej było i jednych i drugich za łeb trzymać, a teraz, kiedy Niemcom sprzykrzyła się już ta robota, głoszą przyjaciele Moskwy, że jak świat światem, nie będzie nigdy Rusin Polakowi bratem — bo im potrzeba taką piosnkę śpiewać, mają oni bowiem nadzieję, że kiedyś Moskale wydrą nasz kraj naszemu Najjaśniejszemu monarsze teraz nam panującemu, i oni wtedy podostają ordery i pensje bogate, ktorych im teraz nikt daremnie dawać nie chce. Gdyby Moskale tu przyszli, bakun i sól byłyby równie drogie jak teraz są, podatki z pewnością nie byłyby mniejsze, do wojska braliby jeszcze raz tyle parobków jak teraz biorą, i pędziliby rekrutów aż gdzieś do Azji w dzikie kraje, gdzie wiecznie tak zimą i latem śnieg leży nie topniejąc, a nie jak teraz, co w najgorszym razie pojedzie rekrut wygodnie koleją żelazną do Węgier, tam je słoninę, winem ją popija i doskonały tytuń pali, żyjąc sobie jak pan, a największą część kapitulacji przesiedzi w domu na urlopie. Gdyby Moskale nasz kraj zawojowali, wtedy nie wójt byłby głową w gromadzie, ale moskiewski prystaw, najczęściej pijak i oczajdusza, który ludziom gorzejby dokuczał, niż mógł dokuczyć za pańszczyźnianych czasów najgorszy ekonom. Moskale nie daliby nam spokojnie Pana Boga chwalić w cerkwiach naszych, ale kazaliby wyrzucać z nich boczne ołtarze i figury.

Komisja do regulacji podatków wybrana, ma przedłożyć sejmowi wnioski o podatku z gruntów i budynków. Chodzi tu oto, aby sejmowi służyło prawo wglądania przy rozkładaniu podatków na budynki i grunta, aby przez to podatki w naszym kraju sprawiedliwiej nakładane były. Jużcić sejm najlepiej może uznać, ile i jaki podatek płacić należy w kraju naszym, bo sejm składają sami tacy, co w kraju się rodzili, kraj znają i wiedzą ile ziemia daje dochodu, ile z niej opłacić można. Dotąd nakładano na nas podatki, nie pytając się nas, czy mamy płacić z czego, czy nie. Nic dziwnego, podatki nakładano w Wiedniu, a tam kraju naszego nie znają.

Kaiążki pożyteczne do czytania poleca się:

Dzieje narodu polskiego dla ludu polskiego i młodzieży — skreślił Józef Chociszewski. Wydanie ozdobione licznemi obrazkami. — Poznań, nakładem J. Chociszewskiego, 1869 r.

Jest to książeczka niewielka, jak spodziewać się należy, pewnie bardzo tania, ale bogactwa wiedzy i nauki, jest w niej bardzo wiele.

Przystępnie i łatwo do zrozumienia dla każdego, uczy ta książeczka o wszystkiem, co się tyczy spraw naszej ojczyzny Polski. Naucza o królach polskich, jak rządzili, o narodzie, jak żył, jak wojował, a do wszystkiego dołączony piękny obrazek a obrazków tych przeszło 60.

Spodziewać się wypada, że książka ta znajdzie się w ręku każdego z Was, Czytelnicy moi. W następnym numerze podam Wam cenę tej książki, bo chociaż ją przeczytałem, ale jeszcze nie wywiedziałem się, ile kosztuje.

Ceny zboża w Krakowie.		Żądają Złr.	Żądają c.	Płacą Złr.	Płacą c.
Pszenicy czerwonej .	korzec	11	—	10	50
Pszenicy białej . .	„	11	25	11	—
Żyta	„	7	—	6	50
Jęczmienia . . .	„	6	—	5	50
Owsa	„	4	70	3	50
Tatarki	„	—	—	—	—
Grochu	„	7	50	7	—
Fasoli	„	—	—	—	—
Koniczyny czer. .	„	—	—	—	—

UWIADOMIENIA OD REDAKCJI.

Czasopismo „Włościanin" prumerować i odbierać można:

w Krakowie: w redakcji ulica Floryjańska L. 345, w księgarniach Czecha i Baumgardtena.
we Lwowie: w księgarni Sajferta i Czajkowskiego.
w Poznaniu: w księgarni M. Leitgebera.
w Sanoku: w księgarni Karola Pollaka.
w Rzeszowie: w księgarni Pellara.
w Tarnowie: w księgarni W. Gazdy.
„ w księgarni M Fenichla.
w Nowym Sączu: w księgarni Lindenbergera.

PRENUMERATA WYNOSI: Rocznie 3 złr. lub 2 tal. Półrocznie 1 złr. 50 c. lub 1 talar. Czteromiesięcznie 1 złr.

☞ Dla tych pp. prenumeratorów, którym prenumerata z dniem 1 października się kończy, załączamy listy zwrotne. ☜

CZESŁAW PIENIĄŻEK, ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR, WŁAŚCICIEL I WYDAWCA.

CZCIONKAMI KAROLA BUDWEISERA.